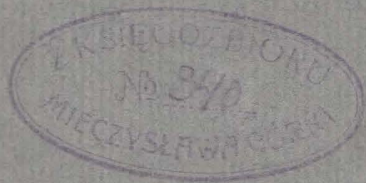


Mieczysław Górecki



ZOFIA FILIPOWICZ
PAMIĘTNIK

WYDANIE POŚMIERTNE



J.B.

WYDAWNICTWO „NAPRZODU”
W KRAKOWIE. ODBITO W DRU-
KARNI TEODORCZUKA. KRAKÓW

Wierzyński Zofia

840.

200

ZOFIA FILIPOWICZ



URODZIŁA SIĘ W WARSZAWIE 5 SIERPNIA 1876 R.,
ZMARŁA W KRAKOWIE 18 PAŹDZIERNIKA 1900 ROKU.



Dom rodzicielski, pieśczoć ojca i ciepło rodzinnego ogniska pamiętała jedynie z mglistych wspomnień dzieciństwa.

Gdy miała lat 10, grom nieszczęścia zburzył jej dom rodzinny i od tej chwili musiała iść pomiędzy ludzi, by przez długi czas jeść gorzki chleb łąski.

W kilka lat później zabroniono jej, ze względu na zdrowie, uczyć się dalej i odebrano z pensyi. Światło wiedzy, które poczynalo być dla niej przedmiotem ukochania, zagasło, zostawiając tylko tęskne wspomnienia i długo nieutulony smutek.

W siedemnastym roku życia patrzyła na tragiczną śmierć matki i na bezsilną sprawiedliwość, nie mogącą dosięgnąć morderców...

Potem zaczęła się praca na chleb. Jako nauczycielka, ucząc innych, każdą chwilę wolnego czasu poświęcała na własną naukę.



Te pierwsze chwile samodzielnego życia spędzała koło Dąbrowy Górniczej i tam też wionęło na nią po raz pierwszy tchnienie wielkich burz, jakimi brzemienna jest cała atmosfera tego zakątka Królestwa. To też gdy przeniosła się później do cichej, górskiej miejsciny w Galicyi, jest jej duszno i ciasno, szarpie nią tęsknota do innych miejsc i innego życia.

Wreszcie może urzeczywistnić swe marzenia i wrócić do świata. I wówczas, w Dąbrowie, rozpoczyna nowe życie, pełne pracy, walki i niebezpieczeństw, życie, którego potęgą odzwierciadla się w wierszu »Odpowiedź« i o którym później pisze: »za te parę miesięcy — parę lat bym dała«. Lecz trwa ono zaledwie chwilkę, gdyż zagrożona aresztowaniem, musi wracać na galicyjską ziemię.

Zaczyna się na nowo codzienna, szara praca na chleb, tym razem w Krakowie.



Pracuje początkowo jako nauczycielka, później — jako buchalterka. Po skończonych godzinach obowiązku spieszy pomagać organizatorom »Uniwersytetu ludowego«, jest jedną z założycielek »Stowarzyszenia robotnic«, pomaga przy zakładaniu codziennego »Naprzodu«. Wracając późnym wieczorem do domu, siada do swego ulubionego zajęcia — do pracy literackiej. — Tak upłynęły dwa lata. Wreszcie w kwietniu 1900 r. choroba serca rzuciła ją na śmiertelne posłanie...

Dziwny to był charakter. Swoboda ruchów była jej dążeniem, które napróżno starała się wydrzeć od tych warunków, jakie jej życie dało; swoboda przekonań była skarbem, strzeżonym zazdrośnie przed poniewierką obcych i szyderstwem swoich. Obdarzona niezwykle silną wolą, trzeźwo-



ścią myśli, a jednocześnie zapalem i gorącym sercem, nie posiadała ani krzty sentymentalizmu. Ciągłe dążenie do wolności ruchów i wolności myśli, połączone z tym brakiem czułości, nadawało jej w stosunkach z niektórymi ludźmi pewną oschłość, braną czasem za brak serca przez tych, którzy jej nie znali lub znając, nie potrafili zrozumieć. Co za ślepotą! — ona tylko walczyła o swobodę dla siebie, i broniła się przed więzami, które na tę swobodę chciano narzucić. Ta walka była treścią jej życia.



PAMIĘTNIK





Zakopane, 23 lipca 1896.

Można się jednak naprawdę zakochać w górach. Rozumiem teraz, że ludzie swobodni, mający na to, by sobie życie uprzyjemnić, lub zmęczeni wirem i gwarem miejskim, ci co szukają wytchnienia i zapomnienia ciężkich przeżyć i bólów, — uciekają tu, w tę ciszę, i tu ukojenie znajdują; balsamiczne powietrze i cudne widoki tych gór balsamem są zarówno dla ran ciała, jak duszy. Rozumiem to i czuję — ale nie dla siebie. Dla mnie niema ciszy w ciszy i spokoju tam nawet, gdzie, zda się, żaden gwar ze świata już nie zalatuje. Za mną na szczyt najwyższy pogoni tęsknota, pustka i głusza wewnętrzna, której nie zapełni mi nic: ni zachwyt szczerzy wobec to imponującej zgrozą, to nęcącej świeżością natury, ni spokój promienny dziewiczej a cudnej przyrody, ni gwar ludzi, ni samotność wśród



górkich dolin i hal — nic, tylko wszędzie i zawsze tkwi w duszy jakaś niczem nie-zapełniona próżnia, a czasem przychodzą myśli tak dzikie i czarne, to znów tak drobiazgowo i marne, że dziw i gniew bierze, a opędzić im się nie sposób. I czemuż ja nigdy nie znajdę chwili zapomnienia? Czemuż ani na chwilę żadne wrażenie nie pochłonie mię całkowicie, czemu troska o najmniejsze drobiazgi, o wczoraj i jutro, nie zblednie wobec wrażeń, które stokroć przecież silniej mię przykuwają? Głód wrażeń i wrażliwość, czucie subtelne i ukochanie natury, piękna, — oto co tkwi w mej duszy, a uroki tych gór, cudnej okolicy, przygody wycieczek, napawanie się wonią tej atmosfery, w zupełności zadowolnić powinny te porywy. Cóż więc tkwi we mnie ponad to, co zasycić się tem nie daje, co szuka i rwie się ku nieznanemu? Nie — mnie i takie życie — wegetacyą, nie ży-



ciem; siły moje i zapal świeże i nieużyte, gwałtownie dopominają się praw swych: pola działania. Jestem wykończona, jak rzadko się zdarza. Nauka i życie rozszerzyło mi horyzonty, pogłębiło zakres myślenia, dało moc niezliczoną porywów i pragnień — a jednocześnie, wskazując ideały, cele, które ukochałam nad życie swoje, całą tą niezmierzoną siłą młodzieńczej duszy, co się jeszcze nie rozproszyła — jednocześnie ukazuje całą moją niemoc i daje mi zupełną, jasną świadomość, że to życie dla idei, to jedyne ukochanie moje, udziałem moim nie będzie nigdy. I czemu? Nieuzbrojona w nic, co do walki o byt konieczne — warunków innych zdobyć nie mogę i dołą moją do końca: najmniejsze życie i praca po to tylko, by tak marnie wyżyć. Co się w duszy burzy przeciw takiej egzystencji — to w rachubę nie wchodzi. Chciałoby się czuć, myśleć, dzia-



łać, pracować, walczyć, włożyć w to całą duszę i wszystkie siły — ale tego nie wolno! Rób to, co musisz, i bądź zadowolona gdy nie idziesz żebrać! Ideały, pragnienia, myśli swoje, duma osobista — to zbytek, a na takie rzeczy nie stać cię przecie!

Dnia 5 sierpnia.

Gdzieś jednak ludzie żyją, pracują, myślą i działają w imię swych ideałów i pragnień; dochodzą i do mnie odgłosy ich działalności, dalekie nawoływania druhów do wspólnej z nimi pracy. Głuchą na nie być nie potrafię; burzy się we mnie wszystko wśród tej beczynności, na jaką jestem skazana. Ja nie chcę, ja nie mogę przylgnąć do takiego otoczenia i życia: tańce, zabawy, teatru amatorskie, wycieczki — to zbyt wiele i zbyt mało — to nie pokarm dla mnie. Czuję wzrastający



rozdźwięk między sobą a takim życiem, a nie mam dość mocy, siły, czy środków, by stworzyć sobie inne. Czyż to możliwe, by istota myśląca i czująca jak ja, wiecznie tylko od okoliczności zależną była i sama, o własnych siłach, nigdy zwalczyć nie mogła tego, co jej rozwój tamuje, wybić się na inne pola, zdobyć sobie życie?! Czy to choroba woli, brak energii, odwagi, przedsiębiorczości, wiary w siebie — czy niczem niezwalczone, wieczne prawo ludzkiej natury?... Walka — moim żywiołem, a pola do niej ni środków nie staje. Wieczna sprzeczność i rozdźwięk wieczny między rzeczywistością, a pragnieniami i możliwością ich urzeczywistnienia; — dokądże mnie to zawiedzie?...



Dnia 8 sierpnia.

*(Po rozprawie o »Forpocztach«
z Julią K.)*

I oni to nazywają idyotyzmem, nieprzyzwoitością, pozowaniem! A zatem każdy szczerzy krzyk gorącej duszy, wyrywający się mimowolnie w chwili oburzenia, a przez to właśnie w piękną, zgodną z kodeksem pospolitego piękna i przyzwoitości formę nie ujęty, — jest pozą, obłudą?! Na prawdziwe zatem porywy zapału, na czucie głębokie, samą treścią wystarczające za formę, u tych płaskich troglodytów, z wysokości wątpliwego swego majestatu normalności i miary potępiających wszystko, co wybiega za ciasne ramy ich pojęć — miejsca niema. Powinnam to raz na zawsze zrozumieć i zapamiętać, oszczędziłoby mi to niejednego bolesnego zawodu i rozczarowania — ale uwierzyłabym łatwiej głupocie i ograniczoności



wrodzonej, przyrodzonemu brakowi pewnych szlachetniejszych zmysłów, lecz takiej umysłnej ślepoty i podłości, z wyrachowania, dla wygody — jeszcze nie mogę, nie mogę...

Dnia 29 sierpnia.

Tma rację: ta myśl niespokojna, paląca pod czaszką, ta tęsknota za czemś nieokreślmem, to dławiące uczucie czczości i pustki wśród tłumu, ten wieczny krytycyzm — to cała nasza wyższość nad tymi, do których dziś należy, jedyna wyższość. Lepiej milczeć i zamknąć się w sobie, a nagromadzona energia, znalazłszy kiedyś stosowne, a upragnione ujście — z tem większą siłą wybuchnie, obfitsze wyda owoce. Więc, myśli moja, nie pragnij ciszy, uspienia; nie lękaj się zostać sam na sam z sobą, w poczuciu odrębno-



ści i osamotnienia! Niech cię szyderstwo,
milczące ubolewanie lub jawna pogarda
otoczenia, tych żółwi w swej ciasnej sko-
rupie zamkniętych, nie dosięga i nie boli —
choćby cię odstąpiły wszystkie dobre du-
chy przyjaźni, zrozumienia przez bliskich
ci i drogich, i choćbyś sama jedna wal-
czyć miała i opierać się tłumowi silnych...

Grybów, 2 Października.

*Taki los wypadł nam:
Dzisiaj tu, jutro tam!*

Znów nowe miejsce, nowe otoczenie
i nowi ludzie. Zapadła górską pro-
wincja galicyjska, dokąd już żadna wieść
z szerszego świata nie dojdzie, żaden szer-
szy głos ludzki się nie zabłąka. Jednostaj-
ność, spokój martwy i cisza.



WIECZÓR CIEPŁY...

Wieczór ciepły, wieczór cichy,
Szumią drzewa ponad rzeką,
Rosą kwiatów drżą kielichy,
Myśl ma płynię hen, daleko!

Śpi przyroda, a jej snowi
Wietrzyk piosnki z cicha nuci,
Czemuż tylko człowiekowi
Spokój w ciszy nie powróci?



KIEDY WALKA MIĘ UTRUDZI...

A kiedy walka mię utrudzi,
Kiedy zaboli pośmiech ludzi,
Lub własnej duszy sparzy żar —

Wtedy znużona i zmęczona
Głowę przytulę ci do łona
I pić pozwolę z ustek czar...



Gdy mi pod czaszką wciąż pałace
Fale mej myśli wzbiorą wrące
Darmo szukając ujścia słów — —

Wszeczludzkich tęsknot niepokoję
Tchnieniem miłości wnet ukoję
Zamienię mękę w rozkosz snów.

Ty, kochający i stęskniony,
Drżącemi ujmiesz mię ramiony
Pieszczotą cichą tuląc skroń, —

I żarem słów namiętnych, wrących,
Do piersi wtulisz mię gorących
Szyję oplecie twoja dłoń...

Przy tobie zasną i zapomnę,
Że serce moje jest bezdomne
A oczy gorzkich pełne łez...

Że życie ciężkie jest i trudne,
Zwycięstwo pewne ale żmudne
A cierpień ludzkich we mgle kres.



CHOĆ DUSZA MA...

Choć dusza ma
Namiętnie drga
I zrywa się do boju —
Przekorny los
Wydrwiwa w głos
Zmuszając do spokoju.
Próżno mi śnić
I marzeń nie
Myślą wysnuwać śmiałą; —
Podniebny lot
Rwie życia młot,
Przygniata faktów skałą.
Daremny trud,
Gdy wkoło lód
Siać w ziemię garści zboża:
Zaczekać trza
Aż spłynie kra
Aż wiosny wszędzie zorza.
Więc wstrzymaj dłoń
I ostudź skroń, —



Cierpliwie czekać trzeba
 Aż przyjdzie czas
 Co wezwie nas,
 Aż nowe przyjdą nieba.
 Serdeczny ból
 W twej piersi stul
 I nie rwij się daremnie;
 Wśród wichru burz
 Ster wąły złóż,
 Aż miną nocy ciemnie...



ZROZPACZONYM I WĄTPIĄCYM.

Dość bólu, dość jęku, dość płaczu i łez!
 Już koniec niedoli i tęsknot już kres,
 I żale utulić dziś nadszedł już czas,
 I szaty żałobne porzucić już raz. —
 Skarg waszych, narzekań, nie uląkł się świat,
 Ni z niebios ognisty nie pomścił was
 [grad —



Więc na cóż daremnie w tej męce wam żyć,
 Ni marzyć, ni działać, ni umrzeć, ni śnić?!

— W głos groźby, w hymn pomsty za-
 [mieńcie wasz jęk:
 Niech skargi przycichną, niech pierzchnie
 [już lęk.

Toż rozpacz potęgą i siłą jest ból.
 A zemsta pociskiem groźniejszym od kul.

Kto z głodu już ginie — nie lęka się strat,
 A siłą, nie prośbą — podbija się świat!
 Więc zamiast znękaną pochylać w dół skroń
 W szeregi się zbierzcie i chwycicie za broń:

Gdy w starych ciemnicach niemieści się duch,
 To póty gmach wstrząsać — aż zwali się
 [w puch!

A choćby was przygniótł sypiący się gruz,
 Krwi w żyłach przynajmniej nie zetnie
 [wam mróz!



A może też przecie, jak szepce mi sen:
Gdy z piersi strząśniecie niemocy trąd
[ten,

Gdy czoła wzniesiecie, co zlewa je znój:
Gdy hardo pójdziecie na walkę, na bój, —

To w górze nareszcie wśród gromów i burz
Choć skrawek jaśniejszych ukaże się zórz!



NOC MARZEŃ.

Jakichś dziwnych rojeń fala
Przypłynęła kędyś zdala
I mą duszę trąca,
I spowitą w snów zacisze
Z sennych marzeń rozkołysze —
Zbudzi się tęskniąca.

Coraz głośniejszy dźwięk mnie budzi,
Świeży wietrzyk skronie studzi,
W siną dal mnie nęci;
Marzeń roje tajemnicze



Oplatają mnie zwodnicze

Idę — mimo chęci.

Ponad wody modrą tonię

Ciche piosnki głośniejsz dzwonią,

Więc tamtędy droga;

Siadam w łódkę — i w krainę

Tajemniczych głosów płynę...

Jakaż podróż błoga!

Po głębokiej, cichej fali

Płynie łódka coraz dalej

Lekko się kołysze;

Z łak nadbrzeżnych mgły, opary

Nadlatują niby mary,

Jakieś szeptu słyszę...

Otulona w blask miesiąca

Leżę w łodzi zlekka drżąca,

Zapatrzona w mroki...

I wśród nocy tuż nademną

Widzę postać jakąś ciemną —

Wkoło wir głęboki.

Postać w łodzi przy mnie siada,



Jakaś wonna, jakaś blada;
Wzięła ster do ręki...
Twarzą ku mnie się nie zwróci
I cichutko piosnkę nuci
Ni to śpiew, ni jęki...
Piosnka dziwna zwolna rośnie;
Coraz pełniej, coraz głośniej
Cudna postać śpiewa.
Niby znana a nieznana
Pieśń, z potężnych dźwięków złana,
Czar na duszę zlewa.
Ster w jej ręku ma kształt lutni,
Struny brzęczą równiej—smutniej—
Całe skarby tonów!
Raz brzmi cichy szmer strumienia,
To znów w burzę śpiew się zmienia,
To grzmi echem gromów.
Płynie łódka, pieśń wciąż dzwoni,
Rój skrzydlatych mar mię goni,
Czar owiewa duszę...
Płynęłabym tak bez końca,



Lecz się zbliża już wschód słońca
I ja — wracać muszę...
Na wschodzącej brzask jutrzeńki
Cichną pieśni, milkną dźwięki,
Pierzcha postać śpiewna;
Chłód poranku skroń mi chłodzi,
Wracam sama w pustej łodzi,
Ze mną tęskność rzewna...



Z PRZESILENIA.

Więc zmiłknij, myśli! Wszak już z tobą
[w zgodzie
Istota moja od brzegu aż do dna;
Wszechwładny ster twój dwie razem pcha
[łodzie:
Rozum i serce — jedna nawa zgodna.
Gdyś ujarzmiła mych uczuć potęgę
I obowiązku wskazałaś mi drogę,
To już, władczyni, złóż mocy twej rękę



I nie grzmij więcej — bo zasnąć nie mogę...
Nie mogę zasnąć, a źle mi na jawie;
Harmonię płoszy ludzki śmiech — szyderca;
Gorzej, niż przedtem, znów serce okrwawię,
A tu być miała już przystań dla serca...
Rozumna myśli! daj tych snów rozkoszy,
Którymiś w walce kusiła mię złudnie,
Bo zanim słońce mrok nocy rozproszy
Celu nie widzę, i żyć coraz trudniej,
I straszna próżnia piersi mi rozpiera,
W męczarniach głodu jak Tantal się wiję!
Bez snu, bez jadła każdy zwierz umiera;
Ja — jestem człowiek — a więc jeszcze żyję...



PRZEPRAWA PROMEM.

Najbliższa stacya kolei była o milę odległa od celu mojej podróży. Najęłam chłopski wózek i wdrapawszy się nie bez trudu na wysoko słomą wysłane siedzenie, ruszyłem w drogę.

Jadę. Pola i wiejskie chałupy szybko przesuwały się przed moimi oczami. Malownicza nadwiślańska okolica, ożywca świeżość przesyconego wilgocią i wyziewami ziemi powietrza, zaczynają na mnie oddziaływać, i chociaż wózek trzęsie nie miłośniernie, — jakaś dziwna błogość, rozmarzający spokój, kołysze mię łagodnie. Wokoło barwne łąki, w dali na widnokręgu ciemny pas lasów, nademną zwieszające się gałęzie wierzb, co się na kształt drogowskazów po obu stronach gościńca rozsiadły. Śród zgiełku moich myśli, śród hałaśliwego turkotu wózka, nieokreślony kontrast two-



rzy ta słoneczna, wpółsenna cisza krajobrazu.

Ale oto gościniec na zakręcie nagle się urywa i drogę nam grodzi szeroko rozlana, wspaniała, poważna wstęga Wisły. Prom podpływa właśnie do brzegu, słysząc nawoływania przewoźników. Mój wózek, szybko zjeżdżając po pochyłym brzegu, wtacza się na prom, pomiędzy stojące już na nim żydowskie furmanki i tłum hałaśliwych pieszych podróżnych. Hałas i zgiełk wzrasta; odbijamy.

Zapatrzona w przestrzeń wód, zwolna tracę z oczu najbliższe swoje otoczenie; nie słyszę już gwaru tylko, patrzę i patrzę, w dal... Na prawo, na widnokręgu, olbrzymia tarcza zachodzącego słońca, niemal stykająca się z powierzchnią wody, ognistymi blaskami zalewa drżące zlekka, srebrno-złote fale. W płomiennej grze słonecznych blasków lśnią w dali wyniosłe,



niebotyczne szczyty Tatr, a Wisła zda się złotym gościńcem pod stopy im podpływać, szerokim szlakiem świetlanej wody prowadzić w dal, w krainę słońce i szczytów, w promienne wyżyny, cudny świat!... Tym pięknym, jasnym szlakiem, tam w góry, ku szczytom rwie się moja dusza! Tam blaski tęczy, tam zórz i słońce królestwo, tam cel jest, tam jest życie!

A szary ciemny prom w poprzek drogi tej płynie i unosi mię z sobą ku wybrzeżom smutnym, piaszczystym i pustym. A ja, bezsilna i bezradna daremnie gonię wzrokiem pragnień krainę szczytów i słońca; prom płynie w poprzek i ja go gdzieś dalej skierować nie umiem, nie mogę... Takim jest moje życie.

W Czernichowie, 16 stycznia 1897 r.



O, WY TEGO NIE WIECIE...

O, wy tego nie wiecie, jak to strasznie boli
Iść poprzez życie wciąż szlakiem niedoli,
Przez nędzę bytu być zgietym od młodu,
Powolnie stygnąć wśród mroków i chłodu,
W szary proch ziemi wbijać wzrok sokoli—

Oh, jak to boli!...

Matko przyrodo! nie byłoby lepiej
By więźnie ciemnic rodzili się ślepi?
I czyż nie zbrodnią — nakładać wędzidła
Ptakom, pod niebo pragnącym wznieść
[skrzydła?

Bezdennej męce biednych twoich dzieci

Jakiż cel świeci?!

Jeśli masz dawać żar myśli i ducha
Na to, by głodów pałaca posucha
Niszczyła kwiecie, nim w owoc wyrośnie,
I na to pomnieć nam każesz o wiosnie
Byśmy wśród lodów tęsknili tułaczę —

Zabij nas raczej!



URYWEK.

Wszystkie dzwony kościelne roz-
brzmiły naraz, rozsyłając muzykę
swych dźwięków daleko na pola i wioski.

Stałem w otwartym oknie, spoglądając
na barwne tłumy ludzkie, które, posłuszne
wezwanu dzwonów, napływały ze wszyst-
kich stron, by zanieść przed ołtarz bóle
swe i troski, skargi, łzy i prośby, i ztam-
tad wyczekiwać zmiłowania. — Z kościoła,
napelnionego ludźmi wszelkich stanów,
brzmiała teraz poważna nuta chóralnego
śpiewu. Powietrze, skąpane w promieniach
palącego słońca, czyste i przezrocze pod
niebieszystym błękitem białawymi obłokami
przezłoniętego nieba, wyraźnie niosło każdy
dźwięk nabożnej pieśni. Naokół była cisza
i tylko ja sam nie mogłem się dostroić do
tonu ogólnej pogody i spokoju.

Aż nagle tłum, stojący pod cieniem drzew
kościelnego cmentarza, zakółsał się zwolna,



rozsunął, pochyliło się nagle głów tysiące i na pełny blask słońca wychyliły się z mroku kruchty drzewce chorągwi, zamigotały błyskotliwe ozdoby różnobarwnych flag, a za nimi wybiegła gromadka małych, bielutkich dziewczątek, sypiąca kwiecie pod stopy tego, który, z wysoko wzniesionej pod baldachimem monstrancyi deszcz blasków i złota rozsypał wokoło... A pieśń z tysiąca piersi falami dźwięków rosła, wzbierała i nie wiedziałem, które wrażenie silniej mię porywa: gra blasków, barw i światła, — czy harmonia tych głosów tysiąca... — Resztkami świadomości broniłem się złudzie marzeń, co upajającym wirum ogarniały mię zwolna, szły ku mnie obłokiem tęczowych, cudnych widziadeł od tych rosnących za oknem głosów i blasków, od odurzającej woni gorącego polnego powietrza, a może i od tych wielkich pragnień, co gdzieś na dnie duszy stłumione, a wrące, myśl mi mąciły i za-



śmiewały rzeczywistość. Bronilem się zadumie. Wiedziałem, że jeśli przymknę teraz oczy, jeśli pogrążony w widziadłach, kreślonych przez wyobraźnię, zatracę na chwilę świadomość czasu i otoczenia, — to stanie przedemną obraz potężny, olbrzymi, niezrównany... Wielkie święto zwycięstwa prawdy i sprawiedliwości, wolne zebranie wolnych ludów pod sztandarem wszechbratniej miłości; z tysiąca piersi, na zawsze rozkutyh z kajdan nędzy i niewoli brzmi płomienny, uroczysty, potężny hymn zwycięstwa i tryumfu; tym hymnem drgają tłumy, drga powietrze i ziemia i wtóruje mu z dali cały obszar niezmierny rozkutego świata!... Hymn olbrzymieje, tłum rośnie i wzbiera, potoki blasków zlewa na ziemię promieniejące raz pierwszy złote, wspaniałe słońce przyszłości, dłońmi naszemi i kwią serc naszych z poza mgieł i cieni, z niebios, na ziemię ściągnięte... — Precz



wy, ułudy cudne, znikome! bo gdy oczy
otworzę i monstracyę zobaczę i krzyże,
a zamiast hymnu zwycięstwa pieśń pokory,
pieśń prośby i skargi usłyszę, zbudzony,
to pierś mi zwątpieniem zazgrzyta, a oczy
łzami zajdą śród tych symbolów nieprze-
rzanej nocy, to przeklnę dzień święta dzi-
siejszego, przeklnę świat cały i siebie, cze-
kanie przeklnę i cierpliwość!... Więc precz,
marzenia, precz, bo niesiecie szaleństwo!



ODPOWIEDŹ M. KOMORNICKIEJ

(na wiersz p. t. »Nastrój«).

Śród nocy chmurnej, drżącej gromami,
Wdał drogą stromą idziemy sami,
W krwawego potu walczym purpurze
I w męce pragnień rwiem się ku górze
Dopóki starczy tchu!

Wkoło walk, czynów, wrażeń tysiące,
Drga szumne życie, pełne i wrące,
Aż się skroń znojna ku ziemi chyli
I darmo pragnie choć krótkiej chwili
Spoczynku, ciszy, snu...

Wtem kędyś zdali głos nas dolata
I w sercu dźwięczy rozpaczą brata,
Brata — olbrzyma, co, pełen siły,
Z wstrętem odpycha wieko mogiły
I nie chce kłaść się w grób;

Potęgi żąda, niech przyjdzie — święta —
Niechaj mu z kajdan duszę rozpęta,



Wulkan energii z piersi wyzwoli,
Bo nad trud więcej — bezczynność boli
I straszno żyć, jak trup.

I żal mu mocy, co się tak marni,
Ale nie widzi końca męczarni:
Krezusa skarby trwoni po trochu,
Aż z nich zostanie nędzna garść prochu,
Popioły — gdzie był żar!...

Czyż, duchu bratni, w promieniach słońca
Będzie ty czekać takiego końca?
Gdy myśmy żądni siły, pomocy,
Ty, pośród marzeń bezpłodnych nocy,
Na mękę dasz ten dar?!

— Nie! Duszę zakuj w stalową zbroję
I z hardem czołem chodź z nami w boję,
Szturmem zdobywać szczyty przyszłości,
Kruszyć taranem gmachy ciemności,
Niewoli wstrząsać mur!

Nowymi szlaki wzniesiem ku górze
Tych, których trwoga życiowe burze,



I pełną piersią rzucimy ziemi
Pieśń, tkaną z bólu, z wichru, z płomieni,
Potężny, straszny chór!

Podziemnych prądów zrywa się wrzawa,
Idea, klęcząc, wzywa cię, krwawa...
Do walk, do czynów pole otwarte,
Chciej tylko zamknąć życiową kartę
Marzeń, czekania, snów...

Chodź tutaj, do nas! Ja ci pokażę,
Gdzie się dziś wznoszą święte ołtarze,
W jakich szeregach ochotnik życia
Znaleźć cel może i ująć rozbicia,
Potęgą wezbrać znów!

Pokażę tobie kraje burz, tęczy,
Gdzie każda krzywda gróźb echem dźwięczy,
Gdzie męk jest pełno i pełno skonów,
A z krwawej siejby ledwo garść plonów,
Lecz piersiom obcy żal!...

Takie przed tobą roztoczę światy,
Że jeśliś szczerze w siły bogaty,



Jeśli naprawdę twa młoda dusza
Żarem się pragnień próżnych wysusza —
— To z nami pójdiesz w dal!

Dąbrowa Górnicza, w styczniu 1898 r.



Z WYGNANIA.

Znów martwa cisza zawisła nademną
I taki spokój mą duszę kołysze,
Że gdy się wsłucham w tę cichą nocciemną,
To aż ten spokój — zda mi się — że słyszę...
Daremno słuch mój wyteżam spragniony:
Znikąd ni szmeru, ni echa, ni dźwięku,
Choć ja wiem dobrze, że są takie strony,
Gdzie drga powietrze od gromów i jęku,
O! znam świat taki, gdzie z wichrem i burzą
Szarpia się ludzie śród mroków i nocy;
Krwawe pioruny świt zorzy im wróża,
Wolność i prawda — źródłami są mocy.
Tam, w ich szeregach, zostawiłam duszę



I nie mam bez nich już życia na świecie,
A zdala od nich gdy w ciszy żyć muszę
To mi tak tęskno, tak pusto jest przecie —
Że mi ten spokój, jak ból, piersią targa,
Że mi sen z powiek myśl gryząca spędza,
A z ust wybiega jedna wielka skarga:
»Czemuż od pragnień silniejszą jest —
[nędza?«

Czernichów, w lutym 1898 r.





Czernichów, 17 lutego 1898.

Zrozumiałam i uczułam, że takie tylko życie dać może najwznioslejszą i najczystsza rozkosz, bo jest ono wcieleniem w kształty przekonań i ideałów, bo bez niego w każdych innych warunkach życie moje mniej lub więcej w sprzeczności do mych przekonań by stało, a taka sprzeczność jest dzisiaj jednym z najgłębszych i najbardziej rozpowszechnionych cierpień ludzkich, jest tą męką, co najwięcej pesymistów i wiecznych malkontentów nam rodzi. Zrobiłam obrachunek swych sił, hamowałam się, aby nie decydować pod wpływem chwilowego wrażenia; wiedziałam, że takie życie pełne jest ciągłego niepokoju, trudu i walki; wiedziałam, że po większej części wzgardą, szyderstwem lub politowaniem jako szaleńców — karmią nas ci, co nas najmniej znają, a takim jest ogół; wiedziałam to wszystko, bo patrzyłam; lecz przez to rósł tylko



w moich oczach urok upragnionej walki... Ale za te parę miesięcy takiego życia pełnego — parę lat życia bym dała. Nie lękam się trudów żadnych i walka najcięższa mię nie straszy — tylko spokoju i bezczynności się boję. Teraz jestem bez żadnego punktu oparcia i nie wiem, gdzie mi jutro głowę złożyć wypadnie, — ale nie żałuję ani nie rozpaczam; cudniejsze mam wspomnienia i większą wiarę w przyszłość, niż kiedykolwiek. Czyż jakiegokolwiek bądź inne dążenia dałyby mi podobną rozkosz i podobny spokój? Jest to jedyna droga, jedyna działalność, zdolna całkowicie mię pochłonąć i zaspokoić głód wszelkich innych wrażeń i potrzeb; tłumię wszystkie moje tęsknoty, wszystkie osobiste bóle i cierpienia, a zamiast nich napełniam najczystsza rozkoszą, jakiej mi nigdy jeszcze nic w takim stopniu nie dało. Wobec tego mówić, że ja się »poświęcam« — jest śmie-



sznem: ja, przeciwnie, szukam szczęścia, na swój sposób, ale z dobrym skutkiem; to egoizm, nic więcej.



M G Ł Y.

W dal siną patrzę zadumany,
 Zamglonym wzrokiem — w mglistą dal.
 Z łąk wilgnych wznoszą się tumany,
 A z głębin duszy — jakiś żal...
 I płynie tuman poprzez pola
 Na chaty, na wzgórze i las —
 I moja ciemna płynie dola
 I serce kreśli w milion skaz...
 Mgła się, jak życie, kłębi, splata
 Dziwnymi kształty raz po raz;
 Smutnie po latach idą lata
 Pierzchają siły — płynie czas...
 Białawy opar tuli wszystko,
 Nie widać nigdzie światła, skry;
 Wygasa w piersi to ognisko
 Z którego pragnień żary szły...



Duszę obsiadły łzy, tęsknoty.
 Korowód wspomnień, wichru i larw...
 ...Na mgłę padł promień słońca złoty
 I w niej się złamał tęczą barw.



RACZEJ NIE ŻYĆ...

Raczej nie żyć, niż patrzeć, jak z każdą
 [godziną
 Dusza zwolna zamiera i porywy giną;
 Raczej w męce straszliwej po zórz sięgać
 [świty,
 Raczej serce w kawały o gór szarpać szczyty,
 Raczej w bezdeń rozpaczy spadać w pra-
 [gnień męce —
 Niż spać błogo wśród burzy przy szczęścia
 [piosence!
 -- Gardzę słodkiem mamidłem, które mię
 [odrywa
 Z posterunków bojowych, gdzie walka wre
 [żywa!



Wiem, że rozkosz — to nektar czarowny,
 [zdradliwy,
 Bo nie spieszo tym dalej, kto już dziś—
 [szczęśliwy!
 Więc precz, moje tęsknoty, kuszące ma-
 [rzenia!
 Przy Was siła Tytana — w tży karta się
 [zmienia...
 Precz odemińcie, przez bogi! bo wulkan mam
 [w łonie
 I gdy zbliżę brzeg czary — dusza w niej
 [zatonie...
 Zapomnę się, upoję dziko, bez pamięci,
 Jak szatani z dna piekieł nagle w niebo
 [wzięci,
 A potem zasną cicho...— A gdy się obudzę
 Przeklą własne sny ciche i pieszczoty
 [cudze,
 Przeklą mierność swych pragnień, a gdy
 [starczy siły —
 Głowę kulą roztrząskam. Spać — to snem
 [mogily!



JA TAK NIE UMIEM ŻYĆ...

Ja tak nie umiem żyć, jak żyją inni ludzie,
 Bez celu i bez drogi:
 Ja tak nie mogę spać w bezkresnych ma-
 [rzeń złudzie,
 Choć innym sen ten — błogi...
 Już dawno w duszy mej stargała się ta
 Na której cisza grywa; [struna,
 Już dawno w gorzkich łzach spłynęła ta
 Co świat — ułudą skrywa. [zaduma,
 Dziś mi nad głową wiatr nie szumi, lecz—
 Choć inni go nie słyszą, [szaleje,
 I wśród dziejowych burz — ja widzę te
 Co są dla innych ciszą. [zawieje,
 Ja widzę, patrząc w dal przez ciemnie i
 [przez mroki,
 Jak wciąż ta siła wzbiera,
 Co wzrosłszy z cichych krzywd — dziś
 [wstrząsa już opoki,
 Na szaniec mgieł się wdziera...



Słyszę podziemny grzmot — i czuję ciche
 Ziemi, co ze snu wstaje; [drgnienia
 I widzę: idzie już ta zorza wyzwolenia,
 Co ludom wolność daje!...

A od tych widzeń—duch skrzydłami się
 I pęta rwie niewoli, [trzepocze
 Rozpiera wątlą pierś, aż krwią od bólu
 Przykuty do mej doli... [broczę,

Tak idę poprzez świat, przez ciernie i przez
 I na ból nie narzekam; [głogi
 I patrzę wciąż na wschód, przez pustki
 Choć wschodu nie doczekam. [i rozłogi

I nie zazdroszczę snu nikomu, kto spać
 W przededniu dnia wielkiego, [może
 Tylko, gdy czuвам sam, a szumi wicher na
 Tęskno mi—ach, dlaczego?... [dworze



PRZYLECIAŁ SKĄDŚ...

Przyleciał skądś maleńki ptak
 I trzepie się radośnie
 I śpiewa coś wesoło tak
 I śpiewa coś o wiosnie!...
 Nie zważa nic, że wkoło szron
 I że wiatr mrozem dmucha;
 Przyleciał, ot, z nieznanych stron
 I nie dba, kto go słucha.

O, ptaszku, stój! Nie wolno tu
 Śpiewaniem grozić zimie!
 Zabraknie sił, nie stanie tchu,
 Bez echa piosenka zginie!
 Uciekaj stąd, bo sypie śnieg
 I zginiesz tu przedwcześnie;
 Jeszcze nie wszedł twój złoty wiek
 I ziemia jeszcze we śnie...

Nie słucha ptak. Piosenka brzmi
 Na skrzydłach wiatr ją niesie;
 I dziwna moc w jej dźwiękach tkwi
 I serce ku niej rwie się.



I rośnie głos. — Aż stał się cud,
Bo oto śnieg już taje, —
Proroczy śpiew — rozbudził lud,
A z ludem — wiosna wstaje!



PRZEMINAŁ MAJ...

Przeminął maj, przekwitły bzy,
Minęła młodość moja!
Daremny płacz, beznadziejny żal, —
Nie wrócić rzek do źródła.

Nie wiele lat na świecie-m żył
Lecz wieku czas nie mierzy;
Przybyło trosk, ubyło sił
A na świat patrzę szerzej.

I choć mi przysł nie jeden czar
Z młodzieńczych snów uludy
W piersi mi wicher rozdmuchał żar,
Na życia bóje i trudy.



A szła tych walk i błyski burz,
Co w piersi wrzały młodej —
Rozćmiły szlak do nowych zórz
Miłości i swobody.

Więc choć znikł maj, bez przekwitł nam,
Kto raz wszczął walkę z nocą,
To naprzód, hej! do światła bram
Kołatać z męską mocą!



Z OBRAZÓW WSPOMNIEŃ...

Z obrazów wspomnień, co wezbrawszy fał,
Na bezpowrotność skarżą się i żalą,
Z widzeń przeszłości, co pustką przeraża,
Z wszystkich nadziei wznosząc się cmentarz, —

Wstały powoli, posepnie a tłumnie,
Szakale smutku — i idą wprost ku mnie.

Siadły na piersiach, i zaraz w głąb serca
Każdy z nich szpony ostrymi się wwierca



I ślepiem krwawem wśród nocy połyska,
Żłowiąc krew ciepłą, co z rany wytryska.
A w przerwach żeru, dla większej katuszy,
Szyderczem wyciem jad sączą do duszy:

» Patrz, w twojej piersi, ty miłości królu
» Ze wszystkich uczuć – pozostał nerw bólu;
» Twe wielkie serce, któremś chciał pójść
[świata

» W uścisku objąć — ledwo się kołata
» A w głuchym jęku, co łka w piersi drżącej,
» Skonał ton pieśni, co w bój wiódł tysiące.

»Patrz, patrz: na łanach, gdzie zbórz
[chciał nieść siewy,

»Kwitną, jak dawniej, kąkole i plewy;
»Od młoduś marzyłeś, by w ducha rozkwicie
»Paść z bronią w ręku, za przyszłość dać
[życie...

»Hej, tzy daremne i bezsilne żale, —
»Krew twa serdeczna nakarmi—szakale...»



Przycichło wycie. Krwia moja pijane
Szakale zwolna opuszczają ranę
I znikły wszystkie wraz ze słońca wschodem.
By z świeżym wieczór znów powrócić
[głodem.

A gdy tak co noc na żer szły z ukrycia,
I krwi mi zbrakło — wyssały chęć życia...



7. ABBAZYI.

Morze, bezkresne morze
Jak wolno się kołyszeli...
Spokojnych wód bezdroże, —
Przeklinam twoją ciszę...

Nad brzegiem gaj palmowy
I cyprys sięga nieba —
Dla mojej wrącej głowy
Powiewu wichrów trzeba.

Hej, tam w błękitnej dali
Mew stado leci duże...



Hej, serce mi się pali,
Leciałbym z niemi w burze!...

Hej, leciałbym w noc ciemną
I póty z burzą szalał,
Aż ból, co zrósł się ze mną,
Śród ryku wód by zmałał... hej!



PRZEKŁĘTY LOS...

Przekłęty los, przekłęty los,
Co ptakom łamie skrzydła
Co rzuca grad w ziarn pełen kłos,
Hamulce i wędzidła
Nakłada orłom, panom gór,
I strąca gniazda im z pod chmur —
Przekłęty los!...

Tych, co chcą żyć, tych, co chcą żyć
Pełnią twórczego szalu,
Pełnym puhaem rozkosz pić
W pogoni ideału, —



Tych karmi głód, tych poi mrok,
Bezbrzeżna nędza tropi w krok
Tych, co chcą żyć!...

Gdzieś na dno mórz, gdzieś na dno mórz,
Zwalono się wulkany;
Zakryła fala blaski zórz
Stłumiły huragany,
Stłumiły orgie mętnych fal
Wściekłość wulkanów i ich żal
Gdzieś, na dnie mórz...

I kryształ wód, i kryształ wód
Spokojnie górą płynie;
Na straży żarów — stanął chłód,
W podwodnych raf krainie
Tylko czasami słychać łkanie
Zda się, duch burzy już nie wstanie,
Śpi kryształ wód...

Lecz idzie czas, lecz idzie czas...
Zbiera się jęk od spodu,
Na czele ciemnych, smutnych mas



Wschodzi wśród mąk porodu
Mścicieli myśli przednia straż
Przekleństwo świata ciska w twarz:
Za mękę masl...



JA CZUJĘ...

Ja czuję, jak mi w duszy
Tkwi jakieś wielkie słowo,
Co, jeśli pęta skruszy,
Jeśli się wyrwie mowa,
Jeśli się ucieleśni
W kształt wielkiej, grzmiącej pieśni —

To tak, jak hejnał z wieży,
Cudny a niesłyszany,
Powitać świat wybieży
I budzić śpiące łany,
I zbierać pod sztandary
Nowej miłości, wiary,



Tych tam, spragnionych hasła,
W których nadzieja gasła! —
Jeśli się ucieleśni...

Och, pieśni, moja pieśni! —

— A może to daremnie
Wzbijać się ponad ciemnie
Skrzydłami, utkanymi
Z łez, tęsknic, bólów ziemi?...
— Toż tu strychulec trzyma nędza
W tłum jeden wszystkich spędza
I może ciebie, pieśni,
Przytłumi później — wcześniej!
Och, żal cię, pieśni!!





Uciekłem od gwaru świata. Tyle w nim było głośnego łoskotu pustej metalowej bani gdy w nią bezmyślnie bije dłoń nierozważnego dziecka, tyle szumnego zamętu świeżo wyrojonych pszczoł, tyle cichych, bolesnych jęków i nieutulonych, a krwawych łez, nieujętych ciemnych tajemnic i głębokich, nieuchwytnych rozdźwięków, tyle w nich bólu, och, tyle... zmęczyłem się i chcę zapomnieć; każdy nerw chcę bezczynnością odnowić, chcę stępieć, zgłuchnąć i zaniewidzieć; nic nie czuć, nie pamiętać, zapomnieć... Witajcie, góry! Wyniosłe i niebotyczne, odgródźcie mnie od świata, wieczysty spokój dajcie pić jak nektar odrodzenia, rozpalone czoło chłódźcie skalnymi powiewy, wybladłą skroń opalcie skwaremi waszych południowych żarów i silnem tchnieniem waszych wolnych burz! A jak matka nad kołyską spłakanego dziecka — stójcie na straży głosem, niech z dalekich



równin budzić mnie nie przyjdą — niech spocznę, niech zapomnę...

Zapomnieć trudno. Chodziłem w ciche las smereków i twarz zatapiałem w wilgotne postanie mechów; wpatrywałem się w smutne, nieruchome turnie; słuchałem szumu strumieni i łoskotu białych wodospadów; błagałem, z jękiem tuląc się do tętniącej tajemniczym bytem ziemi-matki, błagałem by serce moje na jedną sekundę z jej tętnem się zespolić, z jej pra-istotą jedną całością uczuć się mogło... Nie! — dalej się błąkam od drzewa do drzewa i od skały do skały; sam jestem i tak stęskniony, jak grudka ziemi, co burzą wyrwana, zawisła u korzenia powalonej sosny. Zaczynam nienawidzieć te ściany co nieprzerwanem, nieprzeniknionem pasmem zamknęły mnie dokoła i odgrodziły od świata. Ciasno mi, pierśmi tchu złapać nie mogę w dolinie



bez horyzontu, z krótkim dniem i wczesnym zachodem słońca. Gdzie rzucę okiem, wzrok odbija się i ześlizguje po dzikich głazach niebotycznych skał. Mnie trzeba horyzontów bez końca i pełnego oddechu wielkich, wolnych przestrzeni! Więc w górę, więc na szczyty! W dolinie zostawić żal!

Na szczytach nie byłem. Wracam. Tam, z równi dalekich, spowitych w mgły i w mrok, tłumionym szmerem szemrzących i smutnych jak ból — zerwał się wielki jęk i leciał poprzez świat. Wiatr, co go uniósł z sobą i rozwiać miał, jak złudę, zabłądził tu, w świat gór szczeliną pomiędzy turnie się wdarł, z zielonych smereków szumem pomieszał swój płacz, aż skały odpowiedziały echem, aż wstrząsała mi się dusza... I nic już nie chcę i — wracam; jak dawniej, wracam sam. Hej wy, strażnice-góry, źle strzegłyście swych wrót!



GDYBYM JA...

Gdybym ja był nie czuł, bracie,
Jakie burze dmą po świecie,
Pewnobym ja został w chacie,
Zadumane, ciche dziecię...
Pewnobym ja, śniąc w spokoju,
Śpiewał kwiatem, śpiewał wiośnie,
Gdyby nie ten wicher boju,
Co tam szumi tak rozgłośnie.

Hej, ty wicherze, huraganie,
Coś mi zburzył dom, sierocie!
Czy też tobie siły stanie
Łzy wysuszyć mej tęsknocie?...
Hej, ty wicherze!... kto się wsłucha
W twego szumu jęki, płacze,
Jakieś wieczne skargi ducha
I wszechludzkich łez rozpaczę
Wnet mu w pierś uderzą burzą,
Wnet mu zerwą struny lutni...
Nim się nieba znów rozchmurzą
Coraz ciemniej, coraz smutniej...



— Nic-to, bracie! — słuchaj dalej —
 Wiatr przewieje, przegrzmia burze,
 Ci, co wichrom się ostali
 Staną drugim za przedmurze!



W ŚWIAT POSZEDŁEM...

W świat poszedłem. Ponad głową
 Zaszumiały w pożegnanie
 Drzewa pieśń mi pogrzebową,
 Pełną przekleństw — za rozstanie...
 Jeszcze teraz, gdy czasami
 Wiatr przycichnie tu na chwilę,
 To ta pieśń mię woła łzami
 Jeszcze teraz — lat już tyle!...

— Co tam pieśń! — Nie wróci z drogi,
 Kto przed sobą bije szlaki
 Het, w bezkresnych sfer rozłogi,
 A z nim stadem lecą ptaki!
 W słońce lecim! Płacze ziemi,



Tej tam w dole ciemnej, głuchej,
 My wchłaniali pierśmi swemi,
 My dźwigali jej łańcuchy
 I z jej głębin my wyssali,
 Od jej tęsknic nam wrosła
 Moc spętania ślepej fali,
 Co świat-ziemię w przepaść niosła!

— Tobie dziwno? Patrz, wicher szumi,
 Gniazda rwie nam zawierucha,
 Tysiąc mocy śpiew nasz tłumi,
 Tysiąc tęsknic szarpie ducha —
 A my, słabe dzieci ziemi,
 Tak urosli tutaj w górze,
 Że targamy skrzydły swemi
 Tuman mgieł — i lecim w burze!

Hej, nie żałuj Ty mnie, bracie!
 Mnie już nie żyć z wami w dole...
 Zamiast ciszy w senniej chacie
 Dajcie grom mi w dłoń i — wolę!!





NIE PRZYJDZIE DZISIAJ PIEŚŃ...

Nie przyjdzie dzisiaj pieśń,
Daremnie czekać jej —
Nie przyjdzie i nie trąci
O struny lutni mej.

Na piórze siadła pieśń,
Nie mam jej otrzeć czem.
Sen ciężki myśli mąci —
Czy pierzchnie? — czyż ja wiem...



NA DZIEŃ PIERWSZEGO MAJA.

Wiosenko, czy to Ty
Włożyłaś w wiatrów szum,
Tyle bezładnych marzeń
I niepochwytnych dum?

Czy twój, wystanko słońce,
Jest ten przeciągły śpiew,
Co dziką zwrotką targa
Młodziutkie listki drzew?



Słysz, wiosno! czy to Ty,
Niepomna dawnych lat,
Gdy z Tobą szły nadzieje,
Rój cichych snów szedł w świat.

Teraz, najdziksza ze zmian,
Gdy znów nam dajesz maj,
To zapowiedzią burz,
Przebiegasz cały kraj?!

Dawniej, gdy w poprzek pól
Przeszła majowa pieśń,
To tylko żdźbła trącała,
Topiła śniegów pieśń...

A gdy już stopniał śnieg,
I pozieleniał łąn,
To ludzie, ot — wierzyli,
Że raj im z nieba dan;

I aż od owych dni,
Gdy znowu zamarzł lód,
Cieszyli się bez trosk,
Nie wierząc w przyszły trud;



A teraz, żal się, żal,
Przedziwny nastał czas:
Choć przyszła znowu wiosna
W koronie swoich kras;

Tęsknoty ludzkich serc,
Goryczą ciężkich łez
Już ona zwać nie może,
Już im nie tu jest kres...

Ach! Czarodziejko, moc
Gdzie zatraciłaś swą?
Czemu ci nie wystarcza,
Gdy wody pęta rwą?!

— 00 —

»Przeminął marzeń czas.
Zdwojonym prądem sił,
Ja, wskrzesicielka świata,
Dziś budzę lud, by żył!«



FRAGMENT.

Jako te chmury ciemne po niebios głębinie
Tak mroczne życie chmurą po mej duszy
[płyńcie...

Lecz wiatr chmury przepędził, potem z de-
[szczęm spłyną,
I jaśniejszy się błękit stanie nad głębiną;
A te tu chmury życia — to tak mroczą
[duszę,

Że choć chciałbym żyć jaśniej, już w smu-
[tku żyć muszę.

Hej, niema takich wichrów i niema te]
[burzy,

Coby z serca mi związała pył ciężkiej
[podróży.

I niema takiej siły po za mną, ni we
[mnie,

Coby przeszła z uśmiechem przez mej
[duszy ciemnie!...

Ktokolwiek się tu zbliży, wnet z trwoga
[ucieka,



Jak gdyby ujrzał nagle upiór, nie czło-
[wieka,
Upiór, co w głuchej pustce wstał z cmen-
[tarnej roli
I sunie poprzez łąny, jak zwiastun niedoli.
Och żyje, takie życie! Za jedną garść
[złota,
Którą rzucasz dla jednych, drugich żre
[tęsknota,
I gdy słońca promieniem palisz marne
[ziola,
Kwiat bajeczny, kwiat cudny, darmo
[ciepła woła!...
Marnotrawne ty życie! — a jam wierzył
[tobie...
Nie — będziem widzieć słońca! — Żywi,
[w ciemnym grobie,
Szałem pragnień pijani, z bogów dumą
[wściekłą,
Gdy nieba dać nie mogę, w sobie zbu-
[dzim piekło



I hordą potępieńców wtargniem w świat
[ten stary,
Burzyć i w gruz go walić — smutni i bez
[wiary...
— Słońca! — Och, promień słońca gdyby
[przedarł ciemnie,
Możeby jeszcze iskrę wykrzesał i ze mnie,
Możeby piołun żalu, wyrosły z tęsknicy,
Stopił w sercu mem w miłość ogniem bły-
[skawicy...
Och, jeden promyk słońca!... Czekam go
[daremnie,
Po dniu chmurnym noc idzie... ciemniej,
[coraz ciemniej...



POPRZEZ GWAR...

Poprzez gwar tłumów i szum drzew
Ja ciągle jeden słyszę śpiew,
Najwyraźniejszy, choć daleki...



Czasami cichnie, czasem wzbiera
I głośnym jękiem w pierś się wdziera
Niezagłuszony poprzez wieki
Piąłem się na szczyt dumnych Tatr,
Skronie mi smagał chłodny wiatr
I dziką zwrotką świszczał w uszach —
Lecz zamiast piosnek z gór i hal,
Przyniósł mi z sobą ból i żal,
I tam mię dognał w górskich głuszach.
Poszedłem w świat, w kraj sinych mórz,
W kraj nocy jasných, palm i burz,
Podzwrotnikowych żarów słońca —
Myśląc, że tam już szumy fali
Zagłuszą echa dawnych żali —
Że tam już ścichnie pieśń bez końca...
Lecz gdzież tam! Nie! Im dalej w świat,
Tem większy ból się w piersi wkradł,
Szarpiąc rozdźwiękiem, jakby struna,
Co z przeciwnego gdzieś bieguna
W nadmierną przestrzeń wyciągniona.
Drga tonem fałszu, zanim skona...



I smutno mi... I nie wiem sam,
Skąd ja ten śpiew przeciągły znam,
I nie rozumiem, gdzie prowadzi?...
Wiem tylko dobrze, o! wiem już,
Że nieodstępny on mi stróż,
I pójdę z nim, bo on nie zdradzi!...



JESZCZE NIE PRZYSZŁA...

Jeszcze nie przyszła godzina wyzwoleń,
I duch się ludzki nieraz, och, krwawi,
I męki trzeba, och, wielu pokoleń,
Nim tajemnice byt nam swe wyjawi...
Życie ma ciemni zapas nieprzebrany,
I darmo człowiek iskry światła krzesze...
Znaysły własnymi okuty w kajdany
Za przyrodzone nie wyjdzie pielesze.
Duch, wieczny szperacz, po omacku błądzi,
Za kształt istotny bierze marne cienie,



W własne je myśli ubiera i sądzi,
Że chwyci prawdy nagiej objawienie.
Wtenczas mu dusza rośnie do potęgi
I ma złudzenie, że centrum jest świata,
Skrzydłem podniebne gdzieś zatacza kręgi,
I w nieskończoność kosmiczną ulata.



SZEDŁ SAM ŚCIEŻYNĄ...

Szedł sam ścieżyną w smutnem zadumaniu,
Na polach noc i mgła...
Dusza się zbiegła w rozpaczem pytaniu:
Dziś nic — cóż jutro da?
Z ubogiej izby jak wyszedł o świetle,
Tak teraz wraca znów;
Nie znalazł pracy i niema na życie,
Choć młody, silny, zdrow...
Odkąd zabrakło roboty w warsztacie
I precz kazano iść,
Już drugi miesiąc jeść niema co w chacie,
Chyba pić łzy, mur gryźć...



JESZCZE NIE DOSYĆ BÓLU...

Jeszcze nie dosyć bólu
Zbiegło się w piersi twej,
Jeszcze nie chwytaś lutni
I nie każ śpiewać jej.

Jeszcze poczekaj trochę,
Jęki przemocą stłum —
Aż ten w huragan wzrośnie
Wiosennych wiatrów szum...

Aż te przebłyśki blade,
Co chmur oponę drą,
Piorunym, złotym blaskiem,
Roztoczą się nad mgłą.

Wtenczas ze strun twej lutni
Zerwie się cudna pieśń
I pójdzie z hasłem świtu
Z serc ludzkich strząsać pleśń;

Wtenczas na dźwięk tej pieśni
Zbudzi się milion dusz,



Szeregiem wtargnie w przyszłość,
W przejasnych szlaki zórz!...

Lecz jeszcze nie bij w skrzydła,
Nie trącaj lutni strun,
Prześlemy tobie wici
Z blaskami krwawych łun!...



Dwa, dziewięć, piętnaście, dwadzieścia
pięć, trzydzieści cztery, trzydzieści
siedem... tak płynie młodość; czterdzieści
trzy, pięćdziesiąt,... wszystkie siły, pory-
wy, wyrażają się w cyfrach i utkwia nie-
ruchomo na papierze; potem śmiertelna
pustka i nic; teraz saldo-conti: E. L. An-
dreari, Wiedeń, faktura l. 172 złr. 675,47...
zmęczona jestem... to tak już będzie do
końca... A. Wechsberg et Co, Mor. Ostra-
wa, strona 355, za fakturę l. 421 złr...
Wsłuchiwać się w szepty własnej duszy,
wydoskonalić słuch i umieć uchwycić nie-
sfalszowaną treść własnych myśli... Umieć
myśleć słowami. 4% skonto, za różnicę
ceny, za fracht... Strasznie smutno. Prze-
cież te tam marzycielki Petra Altenberga
były praktyczniejsze; każda z nich pozwa-
lała się »pflegen« pierwszemu lepszemu
filistrowi: taki »Guter, Bester, Edelster«
nie rozumiał jej nic, ale ją pieścił, i ona



wtedy mogła marzyć, żyć. Było im z tem dobrze. Za manco przy Calamoti I-a 10.75... Pełnia albo nie; połowiczności nie zniosł 10 k-o à 86 ct. — 8.60 złr. Saldo. — I poco mi ta duma, poco?

Dosyć na dzisiaj. Dowidzenia panu. Dobranoc pani. Mróz. Oddychać trudno. Ręce do kieszeni i iść byle prędko, prędko... Śnieg skrzypi pod nogami, ślisko. Ona nie cierpi zimna. Żeby to jeszcze mieć taki długi, modny żakiet z wysokim, futrzanym kołnierzem i muską; tak, jak ta śliczna, młoda mężatka, o delikatnych rysach twarzy i matowo-płowych włosach; od tamtej szedł urok i zaciszne ciepło. Jeszcze nie było nigdy takiego mrozu. Biedz trzeba, to rozgrzeje.

Tego wieczora przyszedł X. X. ma grube rysy twarzy i oczy ciemne. Ona tak lubi jego wzrok. Dobroć w nim jest i beżmierna słodycz. Rozmawiać z nim nie może;



wtedy ma uczucie dziwne, jakby upokorzenia; niespokojna płatanina jej duszy, ból gryzący — wobec słodkiej prostoty tego wzroku... Ona kocha te oczy głęboko ciche i patrzy w nie często ukradkiem; to jej robi tak dobrze... Tak samo patrzy człowiek — co w skwarnej dzień letni uciekł na chwilę z miejskiego zgiełku i nagle znalazł się na zielonej polanie leśnej — na wspaniałą ciszę natury-matki. Czuje jej piękno i na dnie gdzieś serca — tęskni do niej, jak dziecko do matki; ale żyćby tam nie mógł — i wraca do miasta.





NA SPADŁYCH JESIENIA...

Na spadłych jesienią liściach drzew
Położę się zmęczony —
Do snu niech szumi tęskny śpiew,
Co z wichrem przez zagony,
Przez puste pola wciąż się niesie,
Płacze po stepach, łka po lesie,
Aż w ludzką pierś, gdy z jękiem wpadnie,
W niej się ukoi, ścichnie na dnie...

W późny i mglisty jesienny świt
Wyjdę na chłodne rosy —
Łany, odarte z kłosów żyt,
Opustoszałe, przejdę bosi,
Z odkrytą głową, jak pątnicy,
Co, wszedłszy w cichej próg świątynicy,
By uczcić wspomnień czar wiekowy
W milczeniu w dół schylają głowy.

W wilgotnym gęszczu żółtych traw,
Na łonie mokrej ziemi
Modlić się będę: »Matko, zbaw!...«



I usty ssać drżącemi
Stygnać soki tej przyrody,
Co, by ukoić moje głody,
Wstać by musiała w żarach lata
I pić mi podać — war wszechświata!...

Potem drożyną, gdzieś latem rwał kwiat,
Powlokę się powoli —
Pijany bólem, pójdę w świat —
A szlakiem mojej doli
Pognają wichry, burze ciemne,
Sny niespełnione, łzy daremne,
I w głos uderzą wielkim płaczem
Za odchodzącym, za tułaczem...



HEJ, BRACIA ORŁY!

Hej, bracia orły, w skrzydła bić
I szarpać więzy, kto chce żyć!
Przyszłość słoneczna jest przed nami,
Tylko ją zdobyć krwią i łzami,



Tylko jej trzeba stworzyć kształt;
Trzeba ideom, tkwiącym w duszy,
Tym, co je świat dzisiejszy głuży,
Serdeczny wciąż zadając gwałt —
Tym trzeba nadać prawa bytu
I u takiego stawiać szczytu,
Gdzie ich nie sięgnie tłumów wycie,
Dyademem prawdy syntetycznej
Oblec — i pchnąć po wielkiej stycznej,
Gdzie piękno, z prawdy urodzone,
Ma dobro, szczęście za koronę!

Z kosmicznych mgławic wiodąc życie,
Myśmy wytworem praw przyrody,
Granic nie znamy dla rozwoju,
A coraz nowych pragnień głody,
Raz u czystego wiedzy źródła
Sił zaczerpnąwszy — coraz dalej
Pchają łódź naszą po tej fali,
Co nas, żyjących w ciemniach, w męce,
Niesie ku światłu. Tylko jeszcze



Świat ten, co ginie, chce nam w kleszcze
Skuć myśl i ducha, spętać ręce —
I na dno wody pchnąć przemocą
Tych, co gmach kaźni już druzgocą!

A więc do walki, orły młode,
O chleb, o światło, o swobodę!!
Krwawymi zgłoski na sztandary
Wszyć hasła nowej, wielkiej wiary,
Co, w proch ścierając gromem myśli,
Starych, hańbiących wiar dogmata,
Rozumne prawa ludom kreśli
I w przyczynowym biegu świata
Wyznacza wpływ i tym dążeniom,
Co, czerpiąc siły z praw rozwoju,
Śmiało, świadome — w dłoń hardą
Moc dały młodym pokoleniom:
Niebezpieczeństwa, kłamstwa wzgardą
I tę szaloną chęć do boju,
Co huraganem świat przeleci,
I wśród ognistych skier zamieci



Wydrze z rąk trupich, rąk plugawych,
Ster dziejów świata. — Wówczas wzleci
Pieśń, co tęsknotą jest stuleci,
Co zgoi rany wieków krwawych
I lecieć będzie już bez końca
Wspaniała, wolna, w nowe słońca!



Zakopane, 5 lipca 1900.

Dziś mgły obsiadły wszystko, niema gór,
niema nawet świerków, rosnących
o dwadzieścia kroków przed oknami; chłodno i szaro. W takie dni dobrze jest przypomnieć sobie, że wczoraj świeciło słońce; dobrze jest pamiętać, że po za mgłami góry, choć dla nas nie widoczne, niezmiennie wyniosłymi szczytami biją w niebo; a najlepiej przymknąć oczy znużone jednostajną szarością krajobrazu i przespać dni ponure, aż zbudzi nas nowe słońce swym ciepłym, dobrym blaskiem. Mgła nieuchwytna obsiada nas i gniecie, wciska się do duszy i tam przybiera ciemną postać smutku, smutek trawi i boli i znów zapomnienia nie daje. Tęsknię do słońca i nie tylko do tego, co rośnię wypija z traw i liści; my, ludzie, mamy różne inne słońca, i — lubimy przenośnie — nieprawdaż?



PRACA NIE ŻYWI.

Mrok. Rzeka głów

I rąk ze stali...

— Stój, tłumie, mów,

Co tam w tej dali,

Dokąd tak przesz,

Co ty tam zyskasz

I czego chcesz?!

— »Fabryczne dymy

»Przykryły świt,

»Błądni dążymy

»Po lepszy byt.

»Praca nie żywi,

»Choć siły ssie —

»Długo cierpliwi

»Buntujem się!...

— Moc żywiołowa

Rwie naprzód tłum!

Tysięcy słowa

Zlały się w szum,



Grzmia, groźnie świszczą...

Świat cały drży:

A nuż się ziszcza

Złowieszczę sny?!...



A ŻE JA SOBIE PÓJDE...

A że ja sobie pójdę w grób —

I cóż to szkodzi?

I tak nie działał, żywy trup;

Zastąpią młodzi.

Ja zresztą sam też mam już dość

Takiego życia:

Od ruchu, wrażeń — wiecznie pość —

Początek gnicia...

Pójdę, i owszem, pójdę sam

W tę cichą nicość —

Tylko przed śmiercią mówię Wam:

Daremna litość...



Wy zamiast żalu, zamiast łez,
 Złóżcie przysięgę,
 Że aż po bytów Waszych kres
 Wszystką potęgę
 Dojrzałych Waszych marzeń, sił —
 Włożycie w pracę!
 Gmach zła, krwią zlepion, rozbić w pył;
 Inne pałace
 Budować pracy, prawdzie; zmyć
 Choćby krwią własną
 Z ziemi tej fałsz — i walką żyć
 O przyszłość jasną!

Zakopane, w sierpniu 1900.



*Układ książki, portret i ozdoby według rysunków artysty
 malarza Jana Bukowskiego.*



SPIS RZECZY:

	str.
Zyciorys	5
* * *	13
Wieczór ciepły	21
Kiedy walka mię utrudzi	21
Choć dusza ma	23
Zrozpaczonym i wąpiącym	24
Noc marzeń	26
Z przesilenia	29
Przeprawa promem	31
O, wy tego nie wiecie	34
Urywek	35
Odpowiedź M. Komornickiej	39
Z wygnania	42
* * *	44
Mgły	46
Raczej nie żyć	47
Ja tak nie umiem żyć	49
Przyleciał skądś	51
Przeminął maj.	52
Z obrazów wspomnień	53
Z Abazyi	55
Przekłęty los	56
Ja czuję	58
* * *	60
Gdybym ja	63
W świat poszedłem	64
Nie przyjdzie dzisiaj pieśń	66
Na dzień pierwszego maja	66
Fragment	69



Po przez gwar	71
Jeszcze nie przyszła	73
Szedł sam ścieżyną	74
Jeszcze nie dosyć bólu	75
* *	77
Na spadłych jesienią	80
Hej, bracia orły	81
* *	85
Praca nie żywi	86
A że ja sobie pójdę	87

